Zwierciadło.

„Zwierciadło“ wychodzi co miesiąc, jako bezpłatny dodatek do „Wiarusa Polskiego“. Prenumeratę, ktora wynosi 60 fen. kwartalnie, przyjmują tylko ajenci i Księgarnia „Wiar. Polsk.“ w Bochum, Maltheserstr. 17a. Cena pojedyńczego numeru wynosi 30 fen.

Prawda w oczy kole.

„Wiarus Polski“ wychodzi trzy razy tygodniowo z bezpłatnym tygodniowym dodatkiem religijnym pod tyt.: „Nauka Katolicka“ i z miesięcznikiem „Zwierciadło“. Prenumerta na poczcie wynosi 1 m. 50 fen. kwart. a z odnoszeniem do domu 1 m. 75 fen.

Nr. 2. Bochum, w lutym 1897. **Rok 5.**

W dalekiej ziemi.

A gdy nad smutną, znękaną tęsknotą
Smierć wreszcie czarne skrzydła swe roztoczy,
Nie z polskich kwiatów wieniec mi uplotą,
Nie polską ziemią mi przysypią oczy..,

Nie polskie brzozy w cichą noc majową
Dumki nademną szumieć będą sobie...
Nie polskie niebo mieć będę nad głową...
O!... jak mi smutno będzie leżeć w grobie!

O, jak mi zimno będzie... Drodzy, blizcy...
Na moją trumnę rzuciwszy garść ziemi,
W rodzinne strony wrócą wszyscy, wszyscy,
A ja zostanę... ja nie wrócę z nimi...

Ach! życie całe było mi żałobą,
W mych oczach zawsze łzy tajone drżały,
Musiałam wiecznie walczyć sama z sobą..
I sama sobie serce rwać w kawały!

A prób się żadnych nie lękałam, Boże!ej,
A wszystko mężne brałam z ręki Twoj
O jedno tylko proszę Cię w pokorze:
Ach umrzeć, umrzeć chciałam w ziemi mojej!

Ach umrzeć w kraju... umrzeć w swoich gronie,
O! jak niewiele przecież pragnąć śmiałam...
Ja tylko jedno to wymodlić chciałam,
I dziś umieram... tu... w dalekiej stronie!...

I jakby na złość, ot, i ta ptaszyna,
I ten obłoczek i ten listek suchy,
I ten jesienny wiatr, posępny głuchy...
Wszystko mi ziemię moją przypomina!

O piękną była w całym wiosny blasku
Moja ojczyzna, kiedym ją żegnała...
O, gdybym ztamtąd choć źdźbło trawy miała,
Choć kroplę rosy... choć ziarenko piasku...

Ale nie! nie mam... nie mam nic... nic po niej,
Tylko tu, w sercu jakiś ból straszliwy!
Tylko jej obraz przed oczyma żywy!
I cała dusza w tym obrazie tonie...

I słyszę ciągle jakiś głos tłumiony,
Co mi rozdziera co mi pali duszę,
Co mnie tam woła... tam... w rodzinne strony,
Puśćcie mnie... puśćcie... ja tam biegnąć muszę.

Puśćcie!... Tak czuję już śmiertelne dreszcze,
Ale piekielna leży moc w tęsknocie!
Tęsknoty siłą tam dobiegnę jeszcze,
Przebiegnę tchnieniem jednem mil tych krocie.

I tam!... Na pierwszej stopie polskiej ziemi,
Szczęśliwa, cicho senną głowę złożę...
I skonam... skonam, usty Ci drżącemi
Za ten litości błysk dziękując Boże!!!

Polski Słowiczek.

Staś dobrym był chłopcem, lecz lubił igraszki,
I trochę swawoli i psoty,
To lubił nad wszystko polować na ptaszki.
Czy z złości? Nie, tylko z pustoty.

Raz poszedł nad strumyk i w zielone krzaki,
Gdzie wiodła go pusta nawyczka,
Samotrzask i sidła zastawił na ptaki,
I schwytał szarego słowiczka.

Słowiczek się rzucał, trzepotał skrzydłami,
I skargi wydawał żałośne,
I szarpał sidełka małemi nóżkami,
Sidełka okrutne — nieznośne!

Nareszcie otworzył swój dzióbek i rzecze:
„Chłopczyno! com zrobił ci złego?
Patrz, nóżki zranione i krew mi z nich ciecze,
Dla czego mię dręczysz? Dla czego?

Jam polski słowiczek i lubię swobodę,
Jak i wy, dla których ja nucę;
Żyję tem powietrzem, piję polską wodę,
Wraz z wami się cieszę i smucę.

Czyś słyszał, chłopczyno, bym śpiewał wesoło,
A nucił i żwawo i skocznie?
Ja z Polską zarazem wywodzę me żale,
Nie spoczną — aż ona wypocznie!...

Czyś słyszał, chłopczyno, bym śpiewał Moskalom,
Gdy wioski wam palą i sioła?
Ja waszym sierocym wtóruję wciąż żalom,
O wolność słowiczy głos woła!“

Staś nie rzekł nic na to, lecz westchnął głęboko,
I smutkiem pobledły mu liczka.
I główkę w dół spuścił i z łez otarł oko,
I puścił szarego słowiczka.

Ojczyzna.

Kraju mój, kraju! czego ja łzy ronię
Po dzikiem niebie, po pustkowiu naszem?
Czemu w bogatej i kwitnącej stronie
Pieszczę myśl moim chróścianym szałasem?

Czemu świst wichru naszego wygnańca
Wolę niż nutę słowika miłosną?
Czemu mi lepiej pod borową sosną,
Niż w gajach mirtu albo pomarańczy?

Czemu przenoszę prostej wioski dziecię
Nad czarnooką hiszpańską dziewicę?
Swiat ten szeroki i pięknie na świecie,
Lecz nie ma ziemi nad moją ziemicę...

Władysław Syrokomla.

Nie traćmy nadziei.

Zniesiem gromy, zniesiem kary
Będziem Polakami,
Jeśli tylko cnót sztandary
Poszanujem sami.

Jak z ojcowych dni rycerze,
Bo gromili wroga,
My pracujmy dalej szczerze
U przyszłości proga.

Wróg się w Polsce nie osiędzie
I nie zwalczy ducha,
Jeśli hasłem naszem będzie
Narodowa skrucha.

Jeśli ojce dzieciom wpoją,
Że to kary z nieba,
A przykładem doma stoją,
Co naprawić trzeba,

To i dziatwa ich posłucha,
Odrodzi się w cnocie;
Pełna ognia, pełna ducha,
Nie stanie w robocie.

Nie zmoskali, ni zniemczeje,
Nie wyprze się wiary;
Wyszlachetni i zmężnieje
Na przyszłe ofiary!

Nasze winy nas zniszczyły,
Tyś opuścił Panie!...
Pracą zdobyć cześć i siły,
To nasze zadanie!

Z polskiej strzechy.

Na nutę: „Bracia rocznica“.

O — nie zginęła jeszcze Ojczyzna,
Póki garść synów ją strzeże,
Póki im święta ojców spuścizna,
A skarb najdroższy — w ich wierze.

Pod ojców strzechą wzrośnie w zaciszy,
Grono rycerskiej młodzieży,
Co jęk narodu sercem posłyszy,
W pracę dla niego pobieży.

Ta miłość kraju na dziecka czole,
Wczesną zadumą osiędzie;
Gdy innych płoche nęcą swawole,
On wzniosłe plany snuć będzie.

O — ta mu miłość serca rozszerzy,
Spotężni rozum i ramię,
I w hart mu męstwa pierś opancerzy,
Co się nie ugnie ni złamie.

On żadnej chwili nie strwoni marnie,
Bo wie, że wiedza orężem;
Więc z nauk korzyść stokrotną zgarnie,
Aż z dziecka zbudzi się mężem.

Silny jak Samson, jak anioł czysty,
Jako pochodnia płonący,
Dźwignie z niewoli kraj swój ojczysty,
Rozbudzi zapał gorący.

I już nie spocznie do tchu ostatka,
Aż w dniu zwycięskich wawrzynów,
Umiłowana ojczyzna-matka,
Policzy wielkich swych synów.

Grosz wdowi.

W on czas, szli ludzie różni, ciskając w kaletę
Dla biednych złote sztuki lub drobną monetę;
A z nimi razem przyszła do świętego miasta
Pokorna, ubożuchna, cnotliwa niewiasta;
I wyciągając rękę, skromna i nieśmiała,
Dwa maleńkie pieniążki na jałmużnę dała.
A Chrystus rzekł: „Zaprawdę, wielkie to są dary,
Większe, niżli bogaczów największe ofiary,
Bo ci oddali zbytek, ażaliż zaś ona,
Składając dwa pieniążki, wdowa opuszczona,
Dwa ostatnie pieniążki, — nie złożyła z niemi
Swego chleba i wszystkich bogactw na tej ziemi?“
Bracia w Chrystusie! niech nas ten przykład poru-
Niech słowo życia przejdzie do żyjącej duszy, [szy,
Niech litość z samolubstwa trądów nas uzdrowi,
I niech każdy poniesie ochoczo grosz wdowi!

Niebieska muzyka.

Skrzypeczki grają, fujarki płaczą,
Głosiki słodkie dźwięczą,
Anioły główki swe jasne chylą,
Przed Matką Boską klęczą. —

A Dziecię Jezus do swej kapeli
Przejasne zwraca lice —

I aż się niebo całe mieni
Dziwując tej muzyce. —

Skrzypeczki grają — fujarki skarżą
Na ziemskie jakby smutki,
Że aż się z jasną nad niemi twarzą
Zadumał Jezus malutki.

Aż Matka Boska spuściła oczy,
Wielkiemi łzami lśniące...
A małe grajki wciąż rozwodzą
Swe żale śpiewające. —

Skrzypeczki jęczą, fujarki łkają —
Pastuszków duchy jasne
Na braci swoich dolę się skarżą,
Na życie skarżą się własne.

I proszą graniem Dzieciątko Boże
O litość nad tamtemi,
Których tak wielu i takich biednych
Zostało — tam — na ziemi. —

Skrzypeczki grają, fujarki płaczą
Głosiki słodkie dźwięczą,
Anioły główki swe jasne chylą,
Przed Matką Boską klęczą,

Żal matki.

Jeśli nie wiecie, o miłe dziatki,
Mówił do wnucząt starzec wiekowy,
Jak swych malutkich kochają matki,
To posłuchajcie słów mych osnowy:

Pewnej mateczce umarło dziecię
I pochowała je w zimnym grobie,
I sama jedna na Bożym świecie
Została w ciężkiej smutku żałobie.

I od tej chwili ciągle nieboga,
Łzami boleści rosząc powieki:
— Czemuż, ach, czemuż, córeczko droga, —
Wołała z płaczem, — znikłaś na wieki?

Ku niebu wzniósłszy ramiona drżące,
Błagała Pana o zmiłowanie
Nad swoją dolą. a łez tysiące
Wilżyło zwoje traw na kurhanie.

Raz przy mogile jęcząc boleśnie,
Zwarła bezwiednie znużone oczy,
I zobaczyła nieboga we śnie,
Obraz cudowny, święty, uroczy...

Płynęła zwolna nad lasu brzegiem
Postać kobiety w śnieżystej szacie,
A za nią mknęły długim szeregiem,
Zmarłych dzieciątek błogie postacie.

Owych duszyczek szeregi bratnie,
Nie mogąc wybiedz cmentarną bramą,
Przebyły murek; tylko ostatnie,
Z dzbanuszkiem w ręku zostało samo.

Ona poskoczy: — Boże jedyny!
Krzyknie rzewnymi łzami zalana:
To widmo drogiej mojej dzieciny!
Witaj mi, witaj, córko kochana!

A dziecię rzeknie: „Boleść twa wielka,
Lecz przestań płakac, otrzyj z łez oczy,
Bo łez matczynych każda kropelka,
Zwiększa mój ciężar, gdy w dzban się stoczy.

Odtąd powieki zaschły niebogi,
Zmilkł jęk rozpaczy, ścięły się wargi
I choć nieszczęsną gnębi ból srogi.
Nie śmie już płacząc głosić swej skargi.

Wsłuchani w dzieje wdzięcznej powieści,
Czyście pojęły to drogie dziatki,
Czerpiąc przykłady z legendy treści,
Jak swoje dzieci kochają matki?

Toć płacz był całą pociechą biednej,
Przy rozstrojonych wrażeń pojęciu,
Przecież tej ulgi zrzeknie się jednej,
By zmniejszyć ciężar swych łez dziecięciu...

Ciężkie, bo ciężkie są łzy matczyne!
Baczcie więc w każdej chwili, dziateczki,
Aby ni jedna przez waszą winę,
Nie popłynęła z oczów mateczki!

Smutny to widok, kiedy wylana
Łza na grób spłynie, lecz więcej bolą
Łzy rodzicielki, jeśli stroskana
Nad córek, synów, płacze swawolą!

Morze.

Morze przedemną, słońce strudzone
Na wód posłania składa swą skroń.
I ciemno wkoło... fale spienione
Jedna za drugą spływają w toń...
O! jakże smutne to życie fali!
Rodzi się — rośnie — i ginie już —
Wlewa się w drugą, co płynie dalej...
Jakie to losy ludzi i mórz!
Nikt jej nie schwyci w biegu — na szczycie —
Nikt nie rozumie dokąd jej bieg!
Taka to młodość — starość i życie —
Tak było, będzie — od wieku w wiek...
Fala — to człowiek — to naród!... nagle
Powstaje — huczy — podnosi skroń —
Pieni się — zrywa stuletnie żagle —
Rośnie w niebiosa — i pada w toń!
I tylko czasem o brzeg się złamie —
Włoży nań zwiędły porwany kwiat...
Ten kwiat — to dzieje — to święte znamie
Przeżytych cierpień, myśli i lat...
Taki naród składa na dziejów łoże
Owoc swej pracy — gwiazdą swych dróg.
Fala za falą ginie — lecz morze
Żyje!... I ludzkość wieczna jak Bóg.

Narodzie! Zostaw klejnot po sobie,
Aby cię wieki pamiętał świat!
Gdy umrzeć musisz — zostaw na grobie
Godło żywota — Wolności kwiat! H. M.

Sierota.

W młodzieńczym wieku, w daleką stronę
Wichrami losu będąc zagnany,
Obce mi było słowo pieszczone,
Najdroższej matki kochanej.
Ni uścik ojca, ani rodziny
Głos, mnie nie doszedł rzewnej pociechy...
Na poniewierkę — Boże jedyny!
Byłem rzucony z rodzinnej strzechy! —
Kiedy widziałem na łonie matki
Pieszczone dziecię, tom rozszalały
Rwał się do niego, — jakbym ostatki
Pieszczot dziecinie chciał wydrzeć małej!
Matko jedyna!
Tylko pamięcią żyłem ja twoją,
Tylko wspomnieniem twojej pieszczoty
W rozpaczy, dziecku tyś była zbroją
Swiecącą jasno jak promień złoty.
A gdym powrócł do ojcowizny
Kędy zastałem zamknięte wrota...
Nowe me serce okryły blizny
I znów poznałem — żem ja sierota...
Stęsknionem sercem szukałem kogo,
Coby mógł odczuć tętna mej duszy,
Coby mi przyszłość pokazał błogą
I w raj zamienił — piekło — katuszy....
A kto łez nie zna tych, co wylałem,
Kto nie padł wrogom w sidła i kleszcze,
Kto tak nie bolał jak ja bolałem,
Ten się z cierpieniem nie poznał jeszcze...
I na mej drodze stanął młodzieniec,
Jasne miał oczy, pogodne czoło,
Na licu róży kwitł mu rumieniec
I na sierotę skinął wesoło. —
Jam się ku niemu rzucił w nadziei
Że ciernie życia zmieni mi w róże;
On mi dłoń drucha, podał z kolei
Co miała przykre zażegnać burze...
Do jego serca... sercem zbolałem
Tulę się całem mojem istnieniem,
O Panie! Panie! czyż ja wiedziałem,
Że jego serce było kamieniem!

Pożar.

Wszędy ruiny — zgliszcza — popioły
I zewsząd słychać rozpaczy jęk.
Wróg pali miasta, burzy kościoły
I szablic jego wciąż słychać brzęk. —
Łuna pożaru niebo zakrwawia,
Palących iskier sypią się skry
Lud w niebo wznosi błagalne dłonie,
A z ócz mu płyną piekące łzy.
O nieszczęśliwy — stokroć biedny
Zgnębiony strasznie o kraju mój!...
Kiedyż spokoju, zwycięztw i chwały
Z za chmur niedoli wzejdzie dzień twój?
Kiedyż zagoją się krwawe blizny
Niesprawiedliwość ukarze Bóg...
Kiedy na gruzach zakwitną kwiaty
I pokonany ustąpi wróg?

Jak cmentarzysko, Ojczyzna cała
I krzywd jej łańcuch urasta wciąż...
Lecz nie rozpaczaj — ty męztwo serca
Z nadzieją w przyszłość zwiąż razem, zwiąż.
Choć zda się nieraz, że pośród ruin,
Zgliszcz, grobów, męki i wielu win
Zginiemy marnie — ty depc zwątpienie
Wbrew kłamstwu wrogów — nieś życia czyn.
I na ruinach siej znowu ziarna,
Z popiołów zimnych ty miłość wskrześ,
Zwątpionym pokaż gwiazdę nadziei
I ciemnym, błędnym, świt wiedzy nieś.
Upaść — i zwątpić to rzecz niegodna
Dla synów Polski z orlęcych gniazd.
Nam trzeba wytrwać — wytrwać nie zginąć
I wieść lud biedny do jasnych gwiazd.
Choć ryczą wichry — choć huczą działa
Palą się chaty — i płynie krew...
Ty wierz i pracuj... a na ruinach
Nadziei w przyszłość rzuć nowy siew.

Podsłuchane.

— Nie wiem, co się moim szkapom stało? Jak ino pan wsiadł, tak się strachnęły i lecą jak wściekłe!

— A czegóż się mogły strachnąć?

— Bo może wielmożny pan jest, z przeproszeniem... weteryniarz?!

* * *

— Ja się dziwię, że Niemcy, taki „mądry“ naród, tak się namyślają nad formowaniem czwartych batalionów? Co łatwiejszego, jak zrobić czwarte bataliony.

— No, no, to i na taki interes wy jesteście znawca?

— Ma się rozumieć. Obstalować mosiężne guziki z Nr. 4, przyszyć żołnierzom do kapot — i już czwarte bataliony gotowe.

Redaktor odpowie dzialny: Antoni Brejski w Bochum. — Druk i nakład Wydawn. „Wiarusa Polskiego“ w Bochum.